

Neil Young Harvest

Reprise Records 2009
Dystrybucja: Warner Music

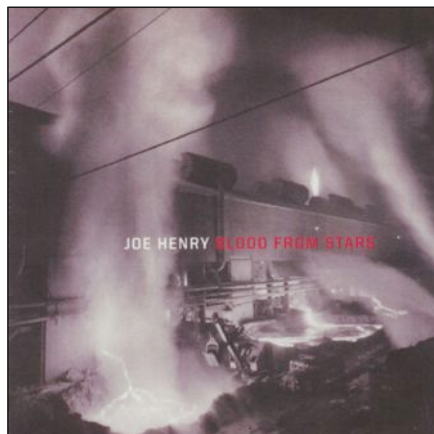
Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

„Ponieważ dźwięk ma znaczenie” – to slogan widniejący ostatnio na płytach Neila Younga. Melomani lubiący jego twórczość zapewne mieli już okazję się przekonać, że słowa te znajdują pokrycie w jakości realizacji jego nowych kompaktów. Jednak Young nie tylko troszczy się o brzmienie albumów premierowych, ale postanowił także odkurzyć swój starszy materiał.

Najpierw inżynierowie popracowali nad studyjnymi taśmami, a potem analogowy zapis przetworzyli na cyfrowy, 24-bitowy. Dzięki temu nie słycać szumu taśmy, wyraźniej wybrzmiewają instrumenty, a głos Younga – delikatny i na ogół zatopiony w aranżacjach – jest bardziej wyeksponowany.

Niedawno ukazały się cztery pierwsze płyty solowe tego wykonawcy. Chyba najbardziej znana jest właśnie „Harvest” (pozostałe to: „Neil Young”, „Everybody Knows This Is Nowhere” i „After the Goldrush”). Oczywiście, trudno mówić o audiofilskiej jakości, ale w porównaniu z wcześniejszą edycją nastąpiła spora poprawa. Sama muzyka pozostała znakomita. Jeśli ktoś nie słyszał dotąd jednego z bohaterów Woodstock – członka kwartetu Crosby, Stills, Nash & Young – to dodam, że słynie on z akustycznej rockowej ballady, zabarwionej folkie. Z utworów wydanych na „Harvest” wyróżniają się „Heart of Gold” i „A Man Needs A Maid”. ■

Grzegorz Walenda



Joe Henry Blood From Stars

Anti 2009
Dystrybucja: Sonic

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Joe Henry – amerykański muzyk, który od 1986 roku, kiedy w sklepach pojawił się jego debiutancki longplay „Talk of Heaven”, nagrał 11 płyt – znów stanął na wysokości zadania. „Blood from Stars” to jeden z moich kandydatów do tytułu „album roku”.

Zaczyna się uroczą przygrywką na fortepianie. Wprowadza ona słuchaczy w melancholijny nastrój, w którym utrzymano niemal cały album. Obok rockowo-balladowych klimatów, które dominują w utworze „Channel”, jest tu sporo bluesa z jazzowymi akcentami i szczyptą szaleństwa. To tak, jakby akustyczną twórczość Boba Dylana przekazać do obróbki Tomowi Waitsovi. Przykładem świetny „The Man I Keep Hid”, z jazzowym saksofonem.

A skoro mowa o instrumentach, to nie tylko głos i udane kompozycje decydują o walorach płyty, ale też doskonała oprawa muzyczna. Polski dystrybutor, zapewne z oszczędności, dostarczył do recenzji jedynie „przegrywkę” na CD-Romie, bez żadnych informacji, poza tytułami. Trudno więc cokolwiek powiedzieć o pozostałych uczestnikach sesji, jednak podejrzewam, że są wśród nich wytrawni jazzmani. Wszystko jest tu profesjonalnie opracowane i podane ze smakiem. Sposób, w jaki rozwija się aranżacja w „This Is My Favorite Cage”, z orkiestrowym finałem, jest iście mistrzowski.

Płyta trochę inna od rewelacyjnej „Tiny Voices” tego samego wykonawcy, ale wcale nie gorsza. Polecam! ■

Grzegorz Walenda



Sting If On A Winter's Night

Deutsche Grammophon 2009
Dystrybucja: Universal

Muzyka: ●●○○○
Realizacja: ●●●●○

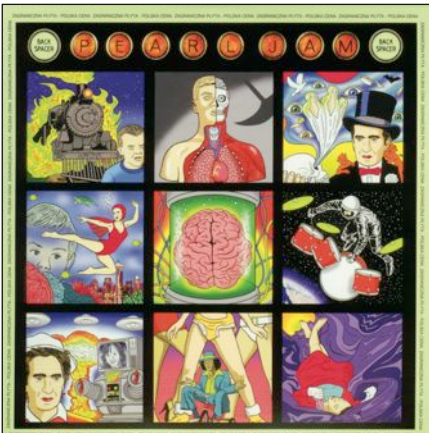
Zaspokoiwszy rockowe aspiracje trasą koncertową The Police, Sting powrócił do eksplorowania muzyki dawnej. Po renesansowych „Pieśniach z labiryntu” zapuścił się w rejony okraszone śniegiem i bożonarodzeniową atmosferą.

Prócz tradycyjnych utworów na „If On A Winter's Night” rozbrzmiewają m.in. kompozycje Purcella, Bacha i Schuberta, wszystkie nieodrodnie kojarzące się ze świętami. Powstał krążek sezonowy, mający stanowić alternatywę dla kiczowatych wersji kolęd, hitów o św. Mikołaju i jego reniferze... Czy jednak lepszy np. od wydanego kilka lat temu świątecznego albumu Jethro Tull? Tego bym nie powiedział.

W roli aranżera muzyki dawnej Sting nie powala. Gdy śpiewa, w znany z „Songs from Labyrinth” stylu, nawet drażni. Na szczęście znajdują się na płycie i piosenki udane, jak najbardziej dynamiczna „Soul Cake” czy ascetyczna kolęda-kołysanka „Cherry Tree Carol”. Najlepiej zaś wypadają: „The Hounds of Winter” i „Lullaby for an Anxious Child”. Tutaj Sting nie zbliża się do pretensjonalnej maniery wokalne. Jest naturalny i po prostu czarujący jak za czasów „The Summoner's Tales”. Tyle że te dobre, lekko jazzujące kompozycje to nowe aranżacje nagrań sprzed lat.

Żeby Mr. Sumner uraczył nas ich następcami, zamiast odświeżonymi wersjami i swoją interpretacją klasyki – tego na święta życząc sobie i wielbicielem Anglika. ■

Bartosz Szurik



Pearl Jam Backspacer

Universal Music Group 2009
Dystrybucja: Universal Music

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●●○

Pearl Jam to, obok Nirwany, jeden z głównych przedstawicieli stylu grunge. Na swej nowej płycie (z fatalną okładką) utalentowani muzycy pod wodzą Eddiego Veddera odeszli od klimatów znanych z „Ten” – debiutanckiego krążka, wznowionego w tym roku w wersji remasterowanej. W brzmieniu zabrakło charakterystycznej szorstkości, za to króluje dynamiczny rock.

Prawdopodobnie jest to zasługą Brenndana O'Briena – producenta, znanego ze współpracy m.in. ze Stone Temple Pilots, AC/DC, a przede wszystkim z Bruce'em Springsteenem. Niewykluczone, że również sami członkowie Pearl Jam postanowili tym razem pójść w stronę klasycznego rocka.

Przekonuje o tym rozpoczynające nagranie „Gonna See My Friend”. Energetyczne gitarowe riffy wypełniają niemal cały początek płyty. Dopiero w „Just Breathe” pojawiają się balladowe klimaty. Melancholijny, wbrew tytułowi, jest też „Speed of Sound”, w którym szczególnie uwydatniono zdolności wokalne Veddera. Ale najwięcej uroku w tym zestawie ma kompozycja „The End”, która świetnie się rozkręca i nieoczekiwanie urywa. Szkoda, bo chciałoby się jeszcze chwilę posłuchać.

W sumie przyzwoita płyta, ale nie dorównująca najlepszym dokonaniom zespołu. Fani pewno się z tym zgodzą, a melomanów nie znających twórczości Pearl Jam odsyłam do „Ten” oraz innych wcześniejszych albumów. ■

Grzegorz Walenda



Kasabian West Ryder Pauper Lunatic Asylum

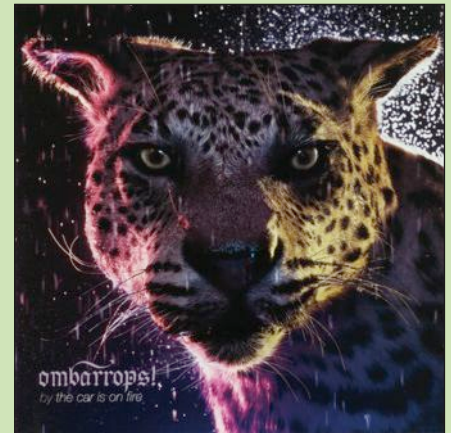
Sony 2009

Muzyka: ●●●○○
Realizacja: ●●●●○

Kiedy przed pięcioma laty pojawili się na brytyjskiej scenie, uchodzili za bandę pyskanych rockmanów, którzy bezczelnie ściągali ze Stone Roses, Primal Scream czy Oasis – za co zostali natychmiast pokochani na Wyspach. Wtedy nawet dziennikarze poczytnych magazynów muzycznych nie spodziewali się, że Kasabian przetrwa na scenie więcej niż jeden sezon, a do tego nagra taki album jak „West Ryder Pauper Lunatic Asylum”.

Członkowie zespołu przed wydaniem płyty podgrzewali atmosferę, opowiadając o fascynacji wczesnym Pink Floyd, niemiecką sceną krautrockową oraz prezentując okładkę, wzorowaną na „Made In Germany” Amon Düül II z 1975 roku. Rzeczywiście, zrealizowali ambitny – jak na siebie – album, którym przynajmniej częściowo zrywają z dotychczasowym wizerunkiem. Mniej tutaj rockowej zadziorności, a więcej staroświeckich brzmień („West Ryder Silver Bullet”, „Secret Alphabets”) i bogatych aranżacji („Underdog”, „Take Aim”). Wydaje się, że główna w tym zasługa producenta – Dana The Automatora (Gorillaz), który umiejętnie wykorzystał w studiu pomysły psychodelicznych zespołów z lat 70., nawiązał w kilku momentach do The Beatles czy Rolling Stones i w ten sposób uratował kilka słabych kompozycji. Lepiej potraktować ten album jako ciekawostkę niż przełom w karierze Kasabian. ■

Jacek Skolimowski



The Car Is On Fire Ombarrrops!

EMI Music Poland 2009
Dystrybucja: Pomaton

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●○

Gdyby chodziło o amerykańskiego lub brytyjskiego wykonawcę, podejrzewam, że krytycy miesiącami cmokaliby z zachwytem. U nas jakiegoś specjalnego zainteresowania tą płytą nie zauważyłem. A szkoda.

Mamy do czynienia z ewenementem. Jest to bowiem polska płyta, ale brzmiąca bardziej „angielsko” od niejednej z ojczystych członków The Beatles. Chórki w niektórych utworach przypominają harmonie wokalne z kompozycji Lennona i McCartneya. Poza tym odzywają się gitary w stylu Beatlesów („Ombarrrops!”) i Yes („Baby Baby”); nie brakuje też stylistycznych odniesień do twórczości innych gwiazd rocka, jak choćby The Beach Boys („Evacuation”). I wcale nie twierdzą, że muzyka The Car Is On Fire coś naśladowa. Przeciwnie, album jest nie tylko świetnie zinstrumentalizowany i ciekawie zagrany, ale wręcz tryska oryginalnymi pomysłami.

Bo kto by wpadł na to, żeby na elektroniczny – niemal wodewilowy – wstęp do otwierającego album nagrania „Death of a Customer” nałożyć akustyczną gitarę? Efekt po prostu genialny. Do tego wpadająca w ucho melodia i doskonały angielski wokalistów – śpiewają w tym języku, jakby się urodzili na Wyspach. Brawo!

W programie „Ombarrrops!” nie ma ani jednego nudnego fragmentu. Zresztą, jak tu się nudzić, jeśli nastroje wciąż się zmieniają? Gdybym miał wybrać najlepszą polską płytę rockową ostatnich miesięcy, to bez wahania postawiłbym na nowe wydawnictwo The Car Is On Fire. ■

Grzegorz Walenda